



ROMAN SZUSZKIEWICZ

Dziewiąty dzień rozprawy, 20 marca 1947 r.

Obecni jak w siódmym dniu rozprawy.

Początek posiedzenia o godz. 9.00.

Przewodniczący Eimer: Wznawiam rozprawę Najwyższego Trybunału Narodowego w sprawie przeciwko Rudolfowi Hößowi.

Proszę poprosić świadków wezwanych na dzień dzisiejszy.

(Wchodzą świadkowie: dr Grabczyński, dr Tondes, dr Fejkiel, dr Kłodziński, dr Kowalczykowa i dr Szuszkiewicz. Nieobecna – dr Felicja Pleszowska).

Przewodniczący: Upominam świadków o obowiązku zeznawania prawdy i o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Proszę świadków o opuszczenie sali. Świadkowie będą wzywani w kolejności. Dr Szuszkiewicz pozostanie na sali.

Świadek podał co do swej osoby: Roman Szuszkiewicz, 40 lat, lekarz, żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, w stosunku do stron obcy.

Przewodniczący: Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

Prokurator Cyprian: Zwalniamy z przysięgi.

Adwokat Ostaszewski: Zwalniamy z przysięgi.

Przewodniczący: Trybunał za zgodą stron postanowił przesłuchać świadka bez przysięgi.

Proszę powiedzieć, co świadkowi wiadomo w sprawie, zwłaszcza w stosunku do oskarżonego.

Świadek: Byłem aresztowany w 1941 r. i wywieziony do Oświęcimia w grupie 90 więźniów. Z tego dziś żyje tylko trzech. Byłem wzięty jako zakładnik. Tamci pomarli na skutek ciężkiej pracy i warunków.

Z chwilą przybycia do obozu momentalnie otoczyła nas masa gestapowców z psami, które na nas szczuli przy wyjściu do samego lagru. W lagrze natomiast oddzielili nas od możliwości jakiegokolwiek porozumiewania się z kolegami, którzy już poprzednio przybyli do obozu. Ustawiono nas między blokami, gdzie odbywała się wymiana nazwisk na numery. W trakcie otrzymywania numerów każdy musiał dostać swoją porcję bicia. Następnie rozebrano nas – była to zima, 28 grudnia – trzeba było czekać na dalszy proces oczyszczania, odwłosienia i kąpieli. Nikt z nas nie przypuszczał, żeby tego rodzaju, że się tak wyrażę, odwszawienie, można było wytrzymać, a jednak zdrowie pozwoliło paru spośród nas to przetrzymać. Później przeprowadzono nas do bloku, gdzie warunki mieszkaniowe były tak straszne, że trudno sobie wyobrazić. Podam tylko kilka momentów. Sala była maleńka i 120 osób było ułożonych jak śledzie w puszcze konserw. Nie można się było absolutnie obrócić. Gdy kto chciał wyjść w nocy, nie miał już powrotu i albo zostawał na korytarzu, albo był zbity i skatowany przez blokowego.

Pracowałem sześć tygodni przy odgarnianiu śniegu. Później zostałem przydzielony do przychodni dentystycznej.

Zaraz na wstępie dostałem pewne dyrektywy, co mi wolno czynić, a czego nie. Wolno mi było usuwać zęby – ponieważ jestem stomatologiem – bez znieczulenia, natomiast Niemcom kapo trzeba było zawsze usuwać zęby bez bólu. Plombować mogłem tylko takie zęby, które można było zaplombować na jednym posiedzeniu. Wszystkie inne zabiegi mogłem robić tylko za specjalnym zezwoleniem szefa przychodni dentystycznej.

Przypominam sobie jeden ciekawy moment. Z chwilą przyścia jakiegokolwiek komisji, o której myśmy już na dwa – trzy dni naprzód wiedzieli, musieliśmy dosłownie przez dwa dni czyścić, szorować, sprzątać. Wszystko to robiło się dla oka. Bywała nawet filmowana wizyta takiej komisji dla celów propagandowych. W czasie pobytu komisji wszyscy chorzy byli ukryci w ciemnej, zimnej piwnicy. Był wypadek, że jeden chory wyszedł nieopatrznie na zewnątrz, na szczęście – oczywiście dla władz lagru – komisja tego nie zauważyła, zauważył to natomiast *Blockführer*, który kazał tego chorego zamknąć w bunkrze i więcej się on już nie pokazał.

Do naszej przychodni dentystycznej przychodziła cała masa protez po zabitych i zagazowanych. Były to protezy kauczukowe, z jakiejś masy sztucznej, bez złotych zębów, bez płytek złotych, te zostawały zazwyczaj przy ambulatorium dentystycznym przy SS-rewirze i tam były przerabiane

na złote sztabki, względnie stop. Do nas przychodziły duże walizki z samymi szczękami. Kazano nam te zęby czyścić, przeprowadzać higienę, sortować, składać, a następnie zabierano już całą masę garniturów i odsyłano prawdopodobnie do Berlina. O tym, co się działo ze złotymi zębami, wiedzieliśmy od kolegów, którzy pracowali na SS-rewirze. Ci opowiadali, że byli świadkami, że miesięcznie zbierano ponad 20 kg złota i odsyłano do Berlina. Wiedzieliśmy również, że to była nominalna [oficjalna] cyfra złota odchodzącego do Berlina. Wiedzieliśmy jednak o tym, że szefowie i ci z SS-manów, którzy mieli dostęp do tej przetwórci złota, gromadzili je u siebie. Co się z nim stało, nie mogę powiedzieć, w każdym razie zdobywano je dla własnego użytku. Najprzykrejsza dla mnie była praca dla tych pacjentów, którzy tego samego lub następnego dnia musieli zginąć w gazie lub przez rozstrzelanie. Była to praca syzyfowa, robiliśmy, co mogliśmy, ale traciliśmy pacjentów na skutek zarządzeń lagrowych. Zaznaczam, że na samym początku byliśmy świadkami niesamowitej sceny, która mnie uderzyła tym bardziej, że byłem początkowym „lagrowcem”, otrzymałem nr 25 000, starzy bywalcy nazywali to milionowym numerem, przy końcu było ponad 200 000 i sprawa ta się zatarła.

Chcę wspomnieć wypadek, którego byłem naocznym świadkiem. Odbывał się apel, naturalnie przy apelu należało na końcu zdejmować czapki. W pewnym momencie słabszy więzień o ułamek sekundy spóźnił się ze zdjęciem czapki. *Blockführer* wyciągnął go z szeregu po apelu, początkowo bił pięściami po twarzy. Więzień się zatoczył, upadł, wtedy zaczął kopać go po nerkach. Ponieważ więzień się kurczył, broniąc się w ten sposób, zaczął go kopać podkutymi obcasami po klatce piersiowej. Widząc, że więzień nie może już wstać, a nie chcąc pozostawiać dowodów, znalazł drewno od łopaty, przyłożył na szyję, nogą przydusił i w ten sposób więźnia zadusił. Po tym wypadku zrozumiałem, czym jest obóz.

Gorsze jeszcze wrażenie odniosłem na tak zwanym pierwszym apelu. Ubrany byłem w łachy, dosłownie w łachy, pachnące trupim odorem, tak że nie wiedziałem, czy jestem trupem, czy mam trupie ubranie. O tym, żeby była przeprowadzana dezynfekcja, mycie, pranie ubrania, nie było mowy. Ubranie było przepalone, bieliznę dostałem również czarną, przepaloną, a oglądając ją, zobaczyłem masę gnid. W tej bieliźnie chodziłem całe sześć tygodni. Dopiero po przybyciu do szpitala miałem możliwość się przebrać. To była największa klęska w obozie: brak bielizny, a zmuszano do utrzymywania higieny, która była nie do pomyślenia. Jeżeli chodzi o ubranie i wyżywienie, będę operował tylko pewnymi faktami.

Jako lekarz i pielęgniarz miałem obowiązek noszenia kotłów do szpitala. Zaraz po tyfusie, bo w pół roku po przybyciu do obozu przechodziłem tyfus, byłem zmuszony też nosić te kotły,

żeby inni się nie przepracowywali. Była to beczka, którą w cztery osoby nosiliśmy na dwóch drogach. Ja byłem słaby, utykałem, ale byli słabsi ode mnie. Widziałem, jak w porze obiadu, kiedy cała masa więźniów z miskami oczekiwała na porcję, ktoś celowo czy mimo woli, tego nie mogę stwierdzić, potrącił beczkę i zupa wylała się. Setki więźniów z łyżkami drewnianymi czy blaszanymi zbierały z błota zupę z odpadkami końskimi i ze strasznym apetytem ją zjadały. Myślałem, że to chyba jest niemożliwe, a jednak taka rzecz się zdarzyła.

Najstraszniejszym momentem było otrzymywanie samego wyżywienia, o tyle przykrejsze dla *Zugangów*, którzy jeszcze nie mieli ustalonego zajęcia, że byliśmy zależni od tak zwanych prominentów. W pierwszej chwili od sztabowych, na dalszym miejscu od blokowych. Ci byli panami naszego życia. Jeść należało przede wszystkim z jednej miski, dziesięciu naraz. W tak szybkim tempie nie wszyscy mogli nadążyć. Było to dla niektórych uciążliwe i nie mogli skończyć nawet jednej czwartej porcji otrzymywanego pokarmu. Tym samym musieli podupadać na siłach, marnieć, wykańczać się. Nazywaliśmy to muzułmanieniem.

Podam inny fakt ze szpitala. Miałem to szczęście, że wyszedłem ze szpitala w okresie największego nasilenia tyfusu, jednak w tym okresie, kiedy jeszcze nie było tak zwanego dosłownego usunięcia możliwości zakażenia, polegającego na tym, żeby te bloki zakażone wygazować, zdezynfekować, doprowadzić do normalnego stanu używalności. Byłem świadkiem, że zupełnie zdrowych więźniów rekonwalescentów wynoszono na auta w obecności grupy SS-manów i wywożono do Birkenau. Tam spotykał ich los innych zagazowanych. Były przerażające momenty, że ścinała się krew w żyłach, nikt nie mógł pomyśleć, żeby w obecnym wieku coś podobnego miało się dziać. O tych szprycowaniach, to było wiadome. Tutaj są lekarze, którzy o tym będą więcej wiedzieli i mówili. Ja pracowałem w przychodni dentystycznej, ale byłem sam tym nieszczęśnikiem, który musiał przechodzić musztrowanie za najdrobniejsze spóźnienie się do apelu, czy do zajęcia służbowego, byłem zależny od słynnego profesora Klera. To był człowiek, raczej zwierzę obleczone skórą człowieka. Człowiek, który własnoręcznie potrafił katować i własnoręcznie wstrzykiwał do żył fenol. Aby jednak ta czynność mogła szybciej następować, doszedł do przekonania, że zastrzyk bezpośredni w serce będzie lepszy i efektywniejszy, skutkiem tego w dalszym ciągu tego rodzaju zastrzyki wykonywał już dosercowo. Był taki wypadek, że zastrzykiwano naszych kolegów i ładowano na auta. Jeden z tych „umrzyków” odżył, wstał, ruszył ręką, wzięto go z powrotem i po raz drugi zaszprycowano. To byłyby fragmenty. Czytałem w dziennikach poprzednie zeznania i nie chcę się powtarzać, podaję tylko to, co zaobserwowałem, pracując w moim zawodzie.

Przewodniczący: Świadek wspomniał o zastrzykach. Czy świadek był tam czynny? Była mowa o prof. Kler. Czy świadek obserwował sposób załatwiania tych zastrzyków?

Świadek: Zasadniczo nie obserwowałem, ponieważ to groziło śmiercią. Strach był wielki w obozie, to było otoczone pewną tajemnicą, jakkolwiek byli niektórzy więźniowie, którzy mogli w kontakcie pozostawać, ponieważ przywozili chorych do gabinetu prof. Klera i równocześnie zabierali trupy z powrotem. Nie byłem tego świadkiem.

Przewodniczący: W tym kierunku nie może świadek powiedzieć, jaka mniej więcej ilość zastrzyków dożylnych czy dosercowych była wykonywana dziennie?

Świadek: Były dni, gdy dochodziło do stu zastrzyków.

Przewodniczący: Jakiego rodzaju narodowości byli więźniowie, którym robiono zastrzyki?

Świadek: Różnej narodowości, przeważnie Żydzi, byli jednak i Polacy, i Czesi, o ile sobie przypominam. Ponieważ więźniów narodowości polskiej było najwięcej, Żydów jeszcze więcej, wiem, że byli zaszprycowani i Żydzi, i Polacy.

Przewodniczący: Czy między szprycowanymi byli chorzy czy zdrowi więźniowie?

Świadek: Tego nie mogę powiedzieć, nie miałem kontaktu z sortowaniem. Byli na pewno i tacy, którzy przy odpowiednim odżywieniu, pielęgnacji, przy dłuższej kuracji, niż to przewidywał obóz, na pewno byliby zdrowi. Nie twierdzę, że ludzie zagazowani nie byli już potrzebni, to byli ludzie, którym brakło spokoju, odpowiedniego odżywienia i trochę lekarstw.

Przewodniczący: Czy dzieci były także szprycowane?

Świadek: Wiem, że w pewnym okresie przyszło dwóch chłopców do obozu. Używano ich jako *laufów*. Co się później z nimi stało, nie wiem. Prawdopodobnie dostali się do Brzezinki.

Widziałem, że do lagru przywożono ludzi patologicznie obciążonych, karłów, ułomnych, nazywaliśmy ich karzełkami. Ludzi, których rzadko się spotyka, ja widziałem tylko w ilustracjach patologicznych pism, była rodzina liliputów, robiono różne antropologiczne badania. Prawdopodobnie zginęli. Takie chodziły wersje.

W pewnym okresie przywieziono do obozu Cyganów. Mieli oni pracować po oddzieleniu elementu zdrowego od gorszego. Zagazowano ich jednak wszystkich.

Przewodniczący: Jakie są składniki fenolu?

Świadek: Dokładnie nie wiem, ale to był karbol, lizol. Słyszałem tylko o tych składnikach.

Przewodniczący: Świadek mówił o doktorze Entress.

Świadek: Był on panem życia i śmierci w szpitalu. Przygotowywał do gazu, przeprowadzał doświadczenia, sam szprycował, przeprowadzał sterylizację.

Raz przypadkowo byłem przy selekcji w szpitalu. Na długiej sali wszyscy chorzy stali. Doktor Entress nie patrzył nawet na kartkę, tylko tak na oko jednych kierował na prawo, drugich na lewo. Oprócz tego były selekcje w obozie. Wybrano wszystkie starsze osoby, ludzi z obrzękiem nóg itd. Tej selekcji nie robił lekarz, tylko *Blockführerzy* i komendanci. Może jakiś tam lekarz i był.

Prokurator Cyprian: Jak wyglądał obóz, kiedy przyjeżdżała wizytacja z Berlina?

Świadek: Można powiedzieć, że to było wielkie święto dla SS-manów i dla więźniów. Praca zewnętrzna ulegała zmniejszeniu, natomiast była uciążliwa w obozie, bo przesadzano w robieniu porządków: myto szyby, podłogi, biada, jeżeli były jakieś niedokładności. W czasie przyjazdu komisji wszyscy musieli być na stanowiskach, najbardziej chudych więźniów chowano do piwnic, gdzie była woda i wilgoć i tam trzymano ich niejednokrotnie cały dzień. Takich wizytacji było trzy do roku. Mówiono, że wizytował Himmler. Była jakaś zagraniczna delegacja filmowa. Przychodziła do wszystkich naszych przychodni, które były wzorowo urządzone dzięki pracy więźniów. Była taka wizytacja i w przychodni dentystycznej.

Prokurator: Obozowa, czy z Berlina?

Świadek: Obozowa chyba nie, bo bym znał ludzi. Zagraniczna, z Berlina.

Miałem prawo przywoływania pewnych pacjentów do przychodni. Z tak zwanej grupy mierniczej uciekło dwóch. Na skutek tego były okrutne represje. Nieżyjący komendant Majdanka Thumann wyzywał inteligencję od najgorszych, a wszyscy członkowie tej grupy w liczbie kilkunastu zesłani zostali do innych lagrów za karę.

Prokurator Cyprian: Swego czasu wybuchł tyfus. Świadek powiedział, że masę więźniów zagazowano. Czy świadek mógłby coś bliżej powiedzieć?

Świadek: Jest tu lekarz, który pracował na tym oddziale, który lepiej to będzie wiedział.

Adwokat Ostaszewski: Świadek mówił o dwóch chłopcach do zabawy. Co to znaczy?

Świadek: Zabawa polegała na tym, że starsi SS-mani brali ich sobie jako maskotkę – tak to obserwowałem – chodzili z nimi, otwierali im drzwi, czyścili buciki, podawali rowery. Co więcej, nie mogę powiedzieć. W każdym razie ci Niemcy o tyle ich faworyzowali, że umożliwiali zdobycie większej racji żywnościowej, kazali uszyć im pasiaste ubrania dopasowane do ich miary. Nie mogę powiedzieć, czy były zabawy natury patologicznej. Z obserwacji i z wiadomości wiem, że były tam typy patologicznie obciążone, jeżeli chodzi o homoseksualizm. Jeden chłopiec miał siedem, drugi 11 – 12 lat. Najprawdopodobniej byli oni z transportu Żydów węgierskich, nie mogę jednak tego bliżej określić.

Przewodniczący: Świadek jest wolny.